

Hendrik Groen

Mała niespodzianka

Dwóch starszych panów i niemowlę,
czyli jak Hendrik i Evert wpadają
w kłopoty



ALBATROS

Tytuł oryginału:
EEN KLEINE VERRASSING

Copyright © 2019 Peter de Smet en Meulenhoff Boekeryj bv, Amsterdam
All rights reserved
Published by special arrangement with Meulenhoff Boekeryj bv in conjunction
with their duly appointed agent 2 Seas Literary Agency and co-agent Graal Sp. z o.o.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Ryszard Turczyn 2022

Redakcja: Joanna Kumaszevska
Projekt graficzny okładki oryginalnej: Piret Tuur

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Wtorek, 21 grudnia 2004

1

Godzina 16.30
Szkoła im. Księżniczki Margriet

– Cholera, gdzie te aniołki?

Jej twarz stężała na moment. Po chwili wrócił na nią stalowy uśmiech. Dwójka dzieci gapiła się na Hetty Schutter, dyrektorkę szkoły, a zarazem częściowo wychowawczynię klasy ósmej. Tylko czerwone plamy na jej szyi zdradzały, że jest zdenerwowana.

Na scenie stało siedmioro pastuszków, którzy najwyraźniej nie mieli pojęcia, co robić. W miejscu, gdzie miała być grupa machających skrzydełkami aniołków, stała jakaś matka i wykonywała niezrozumiałe gesty. Pastuszkowie patrzyli na nią baranim wzrokiem. Po chwili matka zniknęła za kurtyną. Przez jakiś czas nic się nie działo.

Jednego z pastuszków coś zaczęło swędzieć i drapał się gwałtownie pod wysłużonym pasterskim strojem. Drugi machał do babci. Trzeci ścisnął razem chude kolanka, ponieważ z nerwów chciało mu się siku. Za kurtyną coś upadło na podłogę. Potem znowu zapanowała cisza.

Publiczność zaczęła hałasować. Ojcowie i matki zebrani w sali starali się utrzymać spokój, ale tu i ówdzie rozpoczęły się niesnaski między braciszkami i siostrzyczkami. Trzeba było zagrozić przykrymi konsekwencjami. Dwa składane krzesła się przewróciły.

Z boku sceny poruszyła się kurtyna – ktoś próbował znaleźć przejście. Było trzy metry dalej, tam, gdzie parę minut temu miały się pojawić latające aniołki. Osoba za kurtyną najwyraźniej kierowała się raczej głosem nerwów niż zdrowego rozsądku, bo nawet najbardziej niezdarzy komik nie potrzebowałby aż tyle czasu, żeby wyjść zza kurtyny na drugim końcu sceny.

Była to dyrektorka szkoły.

– Hm... panie i panowie, drogie dzieci, wskutek nieprzewidzianych okoliczności coś poszło nie tak z naszym bożonarodzeniowym przedstawieniem, a że chwilowo nie potrafimy rozwiązać problemu, przejdziemy teraz...

Tuż za nią pastuszek zaniósł się płaczem.

– ...do sprzedaży losów naszej świątecznej loterii, a wpływy...

Zapłakany pastuszek zsiusiał się i na jego przebraniu pojawiła się ciemna plama, która się powiększała.

– ...które uzyskamy, zostaną wykorzystane na zakup nowego projektora dla szkoły.

Dyrektorka odwróciła się, dając znak jednej z matek, żeby zajęła się mokrym pastuszkciem, i mówiła dalej:

– Los kosztuje jedno euro i można wygrać wspaniałe nagrody, które zostały...

Z boku na scenę weszła zdenerwowana matka; najpierw wzięła ze sobą inne dziecko, a potem, już z zasikany pastuszką, ruszyła w niewłaściwą stronę – do drzwi, które nie były drzwiami, tylko dekoracją pożyczoną z operetki.

– ...ufundowane przez rodziców, przyjaciół szkoły i zaprzyjaźnionych z nami właścicieli sklepów, za co z całego serca dziękujemy. Sprzedawcy losów podejść w czasie przerwy do każdego z państwa. No a... – rzuciła jeszcze szybko okiem przez ramię – teraz ogłaszam przerwę.

Na jej czole perlił się pot. Odwróciła się i poprowadziła pozostałych pastuszków obok dekoracji, mającej przedstawiać puste pole, do przerwy w kurtynie, za którą między mostkiem z nierównymi balustradami, skrzynią z trampoliną oraz drewnianymi figurami wołu, Maryi i Józefa stała grupka przebranych dzieci, wraz z pomagającymi im ojcami i matkami. Czuło się tu dziecięce siki.

2

W tym samym czasie Mieszkanie Hendrika

– Evert może tu być dosłownie w każdej chwili – powiedziałem do Basa, który spał w rogu na parapecie. To gruby stary kocur, który zawsze rusza jednym uchem, kiedy się do niego mówi, na znak, że jeszcze żyje. Poza tym rzadko się porusza. Tylko na słowo „ciasteczko” podnosi się, żeby stanąć przede mną z przechylonym łebkiem i czekać, aż je dostanie. Bas to przypuszczalnie jedyny kot w całej Holandii, który na tydzień zjada półkilowe opakowanie maślanych ciasteczek. Żaden normalny kot nie jada ciastek.

Mało się rusza, ale za to strasznie śmierdzi. Przypuszczalnie ma to jakiś związek z jego dietą. Mnie to nie przeszkadza. Ale tylko mnie.

– Korzystaj jeszcze trochę z ciepłka, spaślaku, bo jak przyjdzie Evert, będziesz się musiał wynieść na balkon.

Bardzo się cieszyłem, że wpadnie mój przyjaciel Evert. Niewyparzona gęba, ale złote serce. Zawsze jest wtedy trochę zrzędzenia, ale też śmiechu. W zasadzie dość przejrzysty

program, jak co tydzień: kieliszek na początek, orzeszki, kawałek sera, plasterk kielbasy, coś na przegryzkę, partyjka szachów, filiżanka kawy, jeszcze ostatni kieliszek i wylewne pożegnanie.

3

Pół godziny wcześniej
W sklepie sieci Albert Heijn

Mężczyzna za Evertem już po raz trzeci najeżdża mu wózkiem na nogi. Turczynka, która właśnie doszła do kasy, zapomniała nalepić karteczkę z ceną na torebkę z fasolką szparagową.

- Moja nie rozumieć.
- Dział warzywny, kasa numer cztery.

Jakiś marudzący dzieciak chwycił mamę za rękę, przez co upuściła słoik z musem jabłkowym.

– Czy mógłby mi pan pożyczyć kupon rabatowy, bo mój został w kurtce innej kie... eee... w kieszeni innej kurtki? – spytała Everta kobieta.

Z uśmiechem wręczył jej kupon.

– Niech go pani potem włoży do... Chociaż nie, nieważne, proszę go sobie zatrzymać – powiedział.

Był zirytowany. Hendrik zapomniał kupić orzeszki i zadzwonił do niego z pytaniem, czy mógłby po drodze zajrzeć do sklepu Heijna, bo wieczór szachowy bez orzeszków to trochę słaby pomysł. Z własnej inicjatywy Evert dołożył do

koszyka dwie puszki piwa, ponieważ uznał, że koszyk z jedną paczką orzeszków to smutny widok.

A teraz przez te głupie orzeszki już od piętnastu minut stoi w kolejce do kasy. Kiedy coś szło nie tak, chciało mu się pić, więc gdy tylko zapłacił, zaraz otworzył jedną puszkę, powiedział „Zdrówko” do zdumionej kasjerki, wypił łyk i wyszedł. Potem odpiął kłódkę z roweru, wypił kolejny łyk i wsiadł na siodółko. Piwo było letnie.

Nieczęsto widzi się człowieka na rowerze pijącego piwo. Chyba jest to nawet zabronione. Może dlatego, że nie ma jak wyciągnąć ręki, żeby pokazać, że chcesz się zatrzymać, pomyślał Evert. Zastanawiał się, czy ktokolwiek w Holandii dostał kiedyś mandat za to, że nie zasygnalizował zamiaru zatrzymania się. On nauczył się tego ponad sześćdziesiąt lat temu, jeszcze w szkole podstawowej: trzeba wyciągnąć w bok prawą rękę i pomachać nią w górę i w dół, jak ptak z przetrąconym skrzydłem.

– A jak ktoś ma hamulce tylko przy kierownicy? – wymamrotał sam do siebie. – Nawet nie ma się wtedy jak porządnie zatrzymać przez to dawanie znaków.

Beknął.

Hendrik powinien być zadowolony, że kupił orzeszki.

Rower skrzypiał i piskiał.

Rozpadał się deszcz i Evert przemógł do suchej nitki.

Godzina 16.35
Szkoła im. Księżniczki Margriet

Panowało ogólne zamieszanie. Rodzice próbowali utorować sobie drogę do jedyne go przejścia w stronę kulis, podczas gdy dyrektorka szkoły od drugiej strony wpychała do sali małych sprzedawców losów. Babcie, dziadkowie i maluchy przepychali się w stronę specjalnie na tę okazję skleconego baru. Matki odpowiedzialne za lemoniadę, mleko czekoladowe, kawę i herbatę nie spodziewały się tej przedwczesnej przerwy i starały się jak najszybciej napełnić plastikowe kubeczki, tak że trochę im się porozlewało. Kawa i lemoniada cienkimi strużkami ściekały ze stołów na podłogę.

Nauczyciele i nauczycielki niezbyt entuzjastycznie starali się zaprowadzić jaki taki porządek, przez co wywołali jeszcze większe zamieszanie. Woźny próbował nawet w tych trudnych warunkach dopilnować, żeby dzieci nie żuły w szkole gumy.



Sala gimnastyczna niespecjalnie nadawała się na salę

teatralną. Dwóch ojców ochotników zasłoniło wysokie okna czerwoną krepiną i sala, zamiast nabrać charakteru bożonarodzeniowego, bardziej przypominała w nastroju burdel. Chociaż w burdelach raczej nie ma drabinek na ścianach, tablic do kosza czy stu pięćdziesięciu składanych krzeseł. Dzwonki bożonarodzeniowe z czerwonego i białego papieru razem z o wiele za małą choinką miały stworzyć „unikalną atmosferę, godną tego święta Światłości”. Większej choince stanowczo sprzeciwił się woźny. „A kto potem posprząta te wszystkie igły? Poza tym nie mam wystarczająco dużo lampek”. W ten sposób zaoszczędził zresztą dla szkoły sporo kasy.

Harry van Staveren, woźny, był człowiekiem wielce oszczędnym. Miał swoje specjalne miejsce, gdzie zaopatrywał się w nadziewane ciasteczka, które nieco przekroczyły datę przydatności do spożycia. To, że saszetki herbaty nie powinno się używać do przyrządzania więcej niż jednej filiżanki napoju, nie przemawiało do niego specjalnie. Niepodzielnie rządził w kantynie i liczył każdy grosz. Ponieważ zarządzał też apteczką, to nawet plastry naklejał tak oszczędnie, że wystawały spod nich zadrapania.

„Kto nie szanuje grosza, niewart jest talara”, mawiał z fałszywym przekonaniem, kiedy ktoś nieśmiało próbował go skrytykować. A przy tym był tak leniwy jak, nie przymierzając, lew w zoo. Dwadzieścia trzy lata temu ktoś popełnił ten błąd, żeby przyjąć go na etat.

„A więc czekam na odważnego, który mnie stąd wykurzy, zanim skończę sześćdziesiąt pięć lat”, powtarzał.



Woźny stał u dołu schodów prowadzących na scenę, dyrektorka u góry.

– Stało się coś strasznego. To... to... potworne, okropne, wszystko poszło nie tak – skarżyła się. Najwyraźniej zupełnie nad sobą nie panowała. Normalnie nigdy by nie powiedziała „wszystko poszło nie tak”. Najwyżej coś w rodzaju: „Poszło nieco inaczej, niż się spodziewaliśmy”.

Kobito, powiedz wreszcie, co się stało, pomyślał.

– Tylko spokojnie, Hetty, najpierw powiedz, o co chodzi, a potem może uda mi się znaleźć kogoś, kto będzie umiał rozwiązać ten problem.

Nabrała głęboko powietrza.

– Harry, Dzieciątko Jezus zniknęło.

5

Godzina 16.50 Mieszkanie Hendrika

Do: zarządu AFC Ajax

Szanowni Panowie!

Z łamów gazety „Het Parool” z ostatniej soboty dowiedziałem się o propozycji zarządu AFC Ajax, aby na terenie całego stadionu ArenA wprowadzić zakaz spożywania alkoholu z powodu awantur wszczętych przez pijanych kibiców po zakończeniu meczu Ajax – FC Utrecht dnia 17 listopada br.

Państwa zarząd postanowił zmusić do abstynencji pięćdziesiąt tysięcy ludzi tylko dlatego, że Wasze służby porządkowe oraz policja już od lat nie radzą sobie z utrzymaniem w ryzach mniej więcej setki agresywnych awanturników, z których większość znana jest Wam z imienia i nazwiska i których można bez przeszkód obejrzeć na niezliczonych nagraniach wideo.

Kilka pytań:

1. Czy zapowiadany zakaz spożywania alkoholu obowiązywać będzie także w biurze zarządu i w łóżach dla VIP-ów?

2. Czy nie wydaje się Panom, tak jak mnie, że osoby demolujące stadion, rzucające metalowymi elementami barierek czy bijące innych widzów niespecjalnie będą się przejmowały zarządzanym przez Panów zakazem spożywania alkoholu?

3. Co by Panowie powiedzieli na to, gdyby władze dzielnicy po stwierdzeniu, że niedawno na Panów ulicy odkryto źle zaparkowany samochód, postanowiły wydać zakaz parkowania samochodów dla całej dzielnicy?

I jeszcze dwie sugestie dla naszego wylewającego dziecko z kąpielą zarządu:

1. Nałóżcie na stare kobiety, małe dzieci i młode kobiety całkowity zakaz wychodzenia na ulice, żeby w ten sposób raz na zawsze uchronić je przed złodziejami torebek, pedofilami oraz seryjnymi gwałticielami.

2. Ponieważ dokładnie pod drzwiami mojego mieszkania leży wielka psia kupa, wydaje mi się, że ogólnokrajowy zakaz wyprowadzania zwierząt to nie taki znowu głupi pomysł. Wtedy psy można by wyprowadzać wyłącznie w obrębie mieszkania.

Życzę Panom, Panowie z Ajaxu, mądrości, dużo mądrości, bo tej najwyraźniej Wam brakuje.

Jednocześnie chciałbym powiadomić, że kopię tego pisma wysyłam jako list otwarty do gazety „Het Parool”.

*Z poważaniem
H.W. Groen*

✕

No, można wysyłać. Znow wzięłem odpowiedzialność społeczną w swoje ręce. Miło, jak na dzisiejszy dzień.

– Gdzie się podziewa ten Evert? – zadałem sobie głośno pytanie. – Ciekawe, czy jałowcówka jest już odpowiednio schłodzona.

6

Godzina 16.35 *Szkoła im. Księżniczki Margriet*

– Zniknęło Dzieciątko Jezus. Szukaliśmy wszędzie. Nie ma. Chyba nie da się zrobić bożonarodzeniowej szopki bez Jezuska? Kiedy go w końcu odzyskamy, będzie można zacząć.

– Nie możemy wziąć do tego czasu lalki? – zaproponował Harry.

– Na sali są rodzice tego dziecka, więc tak się nie da, bo zaraz to zauważą. Trzeba im o wszystkim powiedzieć. Boże, już się na nas gapią! Nie patrz w tamtą stronę, głupku!

Woźny znieruchomiał w pół ruchu.

– A dlaczego ja? W ogóle nie znam tych ludzi. Oni są zaprzyjaźnieni z Ester. Nie lepiej, żeby ona im powiedziała? Zaraz pójde jej poszukać.

– Możesz sobie szukać, ile chcesz, bo wyjechała na święta – prychnęła Hetty.

Harry był coraz bardziej spanikowany.

– No dobrze, ale ty umiesz załatwiać takie rzeczy o wiele lepiej, a ja muszę tu jeszcze tego i owego dopilnować.

– Harry, ja też mam teraz mnóstwo do zrobienia.

– Tak? Naprawdę?
– No, całe mnóstwo i jeszcze trochę.
– Czyli co konkretnie?
– Słuchaj, albo pójdziesz zaraz powiadomić rodziców, albo ja opowiem tu i ówdzie parę rzeczy o tobie.

Pot wystąpił mu na czoło.

– Zaraz ich poproszę na bok.
– No właśnie, poproś ich na bok i powiedz im, że szukaliśmy ich dziecka już wszędzie, gdzie się dało, ale nie mamy bladego pojęcia, gdzie chłopczyk się podział... Czy może to była dziewczynka? No nic, w każdym razie dziecko zniknęło.

– Mam to zrobić przy wszystkich?
– Oczywiście, że nie, zaprowadź ich do mojego gabinetu.
– A gdzie po raz ostatni widziano to dziecko?
– Na korytarzu, przy toalecie. Panuje tam niewielki ruch i wózek najmniej w tym miejscu przeszkadzał. O ile pamiętam, sam powiedziałeś Geertowi, żeby go tam postawić. Ja w tym czasie zadzwonię na policję.

Dyrektorka zniknęła za kurtyną.

Harry przecisnął się przez tłum i ruszył w stronę stojącej pośrodku sali niepozornej pary, która przez cały czas gapiała się w ich stronę. Kobieta najwyraźniej dołożyła rozpaczliwych starań, żeby wyglądać w miarę odświętnie: brązowa sukienka z broszką, na nogach solidne buty, proste włosy bez nakrycia głowy. Jej mąż wyglądał zupełnie, jakby przyszedł prosto z pracy w biurze albo czymś w tym rodzaju.

Już z daleka można było wyczytać w ich oczach trwożne

przeczcucie.

– Hm... drodzy państwo... eee... Czy zechcielibyście pójść ze mną na chwilę?

Harry ze wszystkich sił starał się sprawiać wrażenie spokojnego, ale z nerwów załamywał mu się głos.

– O co chodzi? Chyba nic się nie stało z Sabine? Czy chodzi o nasze dziecko? – Z oczu matki biła panika.

Ojciec odchrząknął.

– Rozumiem, że wszystko w porządku? – powiedział.

– Tak, tak, oczywiście, chcemy tylko wyjaśnić pewien drobiazg. Mogę prosić ze mną?

Woźny nie potrafił wymyślić nic lepszego. Rozpaczliwie szukał sposobu, żeby wyjść z tej sytuacji bez szwanku, ale nie wiedział, co robić. Ruszył przodem i znów zaczął się przepychać przez kłębiący się tłum; dotarł do schodków na scenę, z trudem wspiął się po pięciu stopniach i poprowadził błądych jak ściana rodziców za kurtynę, gdzie stały pochłonięte plotkowaniem trzy wyznaczone do pomocy matki. Kiedy obok nich przechodzili, rozmowa ucichła.

Dwadzieścia minut wcześniej
Szkoła im. Księżniczki Margriet

Evert jechał głośno skrzypiącym rowerem przez zalane deszczem miasto. Zmierzchało już i panował duży ruch. Skręcił w lewo i chciał znowu trochę przyśpieszyć, lecz nagle usłyszał głuchy chrzęst dochodzący spod osłony łańcucha i naciskająca pedał stopa niespodziewanie zapadła się w nicość. Zachwiał się w prawo, najechał na krawężnik, puszka piwa potoczyła się po jezdni, ale jemu w ostatniej chwili udało się nie wywrócić.

- Tego mi jeszcze brakowało! Już po łańcuchu.
- Trzeba uważać, staruszkule – rzuciła gruba blondynka w legginsach.
- Bardzo panią przepraszam, tłuszcioszku – odpowiedział uprzejmie.

Kobieta wyglądała na zupełnie zbitą z tropu. Nie była pewna, czy dobrze usłyszała; wahała się przez chwilę, po czym dla pewności pokazała Evertowi środkowy palec i poszła dalej.

Obejrzał rower. Staroświecka osłona łańcucha,

pordzewiała i brudna. Gdzieś tam w środku w pobliżu zębatki zwisał luźny łańcuch. Oczywiście Evert mógłby, wiedząc, że to i tak nic nie da, próbować zdjąć osłonę, naciągnąć łańcuch z powrotem na zębatkę, a potem jakoś umieścić osłonę na miejscu. Szanse na to, że mu się to uda, były niewielkie. A nawet jeśli miałby szczęście, to niewykluczone, że dwie ulice dalej znowu stałoby się to samo. Ręce upaprane smarem, ubranie ubrudzone, namęczy się, naprzeklina, a na koniec i tak będzie musiał iść piechotą. Lepiej, jak sobie dzisiaj odpuści i zostawi sprawy własnemu biegowi. Oparł rower o płot szkoły i przypiął do niego kłódką.

Na domiar złego nagle strasznie zachciało mu się do ubikacji. W panice rozejrzał się wokoło. Na dziedzińcu szkoły stało mnóstwo rowerów, ale nie było żywego ducha. W środku na pewno coś się odbywało. Otwarte drzwi zapraszały do wejścia, a w szkołach są toalety. Wszedł do pustego holu. Gdzieś z oddali dobiegał gwar rozmów. Otworzył na chybił trafił jakieś drzwi. Zobaczył niewielkie pomieszczenie z czworgiem drzwi, na trojgu z nich była plakietka z napisem WC. Odetchnął z ulgą i wpadł do pierwszej kabiny, wypłatał się z płaszczem i upuścił go na podłogę przed sobą. Zziębnięte palce nie mogły sobie poradzić z zamkiem błyskawicznym rozporka. Czas nagiął.

– Jeszcze chwila i narobię w gacie – wymamrotał.

Brzeg koszuli dostał się między ząbki suwaka, który zaciął się w połowie. Evert w panice i z wielkim trudem w ostatniej chwili zsunął spodnie i z głębokim westchnieniem ulgi usiadł na dziecięcym sedesie.

– Jak to dobrze człowiekowi robi, jak sobie ulży – wymamrotał chwilę później. Ale jego radość nie trwała długo. – Jezus Maria, mój płaszcz!

Kabina była zbyt mała, więc ledwie się w niej mieścił. Z nerwów kompletnie zapaskudził sobie płaszcz, który leżał przed nim na podłodze.

A niech to, ale się urządziłem, pomyślał. Czy dzisiaj już w ogóle nic mi się nie uda?

Klnąc pod nosem, rozglądał się za jakimś ręcznikiem albo czymś, czym mógłby osuszyć płaszcz.

Przestraszył się, słysząc, jak otwierają się drzwi.

Kiedy zorientował się, że pod drzwiami można zajrzeć od dołu do kabiny, spanikowany podniósł z podłogi płaszcz i podciągnął nogi w górę, najwyżej, jak się dało. Po dziesięciu sekundach zaczęły mu ciążyć jak ołów, po dwudziestu wiedział, że następnych trzech sekund już nie wytrzyma, a po dwudziestu dwóch usłyszał, jak drzwi się zamykają. Z ulgą opuścił białe chude nogi na podłogę.

Ale co tu zrobić z płaszczem? Ostrożnie wysunął głowę przez uchylone drzwi kabiny i aż otworzył usta ze zdumienia. Przy drzwiach na korytarz stał wózek dziecięcy, a w nim spało niemowlę; przez rączkę wózka przewieszony był długi płaszcz przeciwdeszczowy w kremowym kolorze.

Godzina 16.40
Szkoła im. Księżniczki Margriet

Woźny Harry van Staveren zaprowadził dwójkę rodziców o poszarzałych twarzach do gabinetu dyrektorki i zamknął drzwi.

– Zechcą państwo usiąść. Mogę zaproponować filiżankę kawy?

– Przede wszystkim chciałbym usłyszeć, o co chodzi – powiedział ojciec.

Harry zawahał się, przełknął ślinę, spojrzał na niego i wymamrotał:

– No więc, tego... hm... państwa dziecko zniknęło.

– Że co? – spytał bez sensu ojciec.

Matka jeszcze bardziej się skurczyła i zbladła. Zaczęła płakać.

– Jak to możliwe? Zniknęło?

– No właśnie, jak to możliwe, że nasza córka się zgubiła? To nikt jej nie pilnował?

– Ależ nie, nie, cały czas ktoś przy niej był, tylko... hm... tylko przez krótką chwilę... eee... może nie. – Harry nie potrafił wymyślić nic lepszego. – Na pewno wkrótce

znajdziemy państwa dziecko. Przecież nie może być daleko... tak sobie myślę. Czy napiją się państwo może kawy?

Matka już tylko szlochała. W oczach ojca widać było panikę.

– Gdzie ją widziano po raz ostatni?! – zawołał. – Kto ją widział ostatni?

– Tego musimy się dopiero dowiedzieć. – Harry spocił się jak norka. – Wyjdę na chwilę zapytać, czy może już wiadomo coś więcej. Zechcą państwo tu poczekać?

I nie oglądając się za siebie, wymknął się z gabinetu w poszukiwaniu czegoś lub kogoś, żeby być możliwie jak najbardziej krytym.

Przez chwilę rodzice dziecka byli zbici z tropu. Potem ojciec zerwał się i ruszył za woźnym, a zaraz za nim szlochająca matka; przez łzy, które zalewały jej oczy, nie zauważyła zamykających się drzwi i walnęła ją w twarz. Zachwiała się. Jej mąż usłyszał uderzenie, wahał się przez chwilę, czy nie pobiec dalej, ale w końcu się odwrócił i chwycił żonę za rękę. Kiedy chciał ją pociągnąć, okazało się, że stracił woźnego z oczu.

– Gdzie on się podział?

Ludzie ogarnięci paniką czepiają się wszystkiego, co mają pod ręką, a w tym przypadku był to woźny. A że im się wymknął, jeszcze bardziej się przerazili.

– Proszę nas przepuścić... przepraszam... proszę zrobić przejsie... przepraszam... przepraszam.

Odważni – jak na nich – przeciskali się między ludźmi i przyrządami gimnastycznymi. Potrącili kobietę, tak że

wylała sobie kawę na odświętną sukienkę.

– Aua! Kurwa mać! Uważaj, co robisz, palancie!

Warstewka kultury jest często bardzo cienka. Zbyt cienka jak na gorącą kawę wylaną na sukienkę. Matka zaginionego dziecka nawet nic nie zauważyła, tylko torowała sobie drogę za mężem. Dotarli do korytarza i tam mężczyzna dostrzegł coś w oddali. Przez okno niewielkiego pomieszczenia pełnego teczek, pudeł i stert papierów zobaczyli dyrektorkę sztorcującą jakiegoś mężczyznę. Chłop jak dąb, skulony jak zbity pies. Przez zamknięte drzwi słysząc było pomstującą dyrektorkę.

– Baranie jeden, jak można zostawić wózek z dzieckiem bez opieki w toalecie?! Kto tak robi? Kiedy to było? Kiedy po raz ostatni tam zaglądałeś? Kiedy po raz ostatni widziałeś dziecko? No, gadaj, człowieku!

Wspomniany baran odpowiadał, jękając się:

– No... eee... jakieś piętnaście minut temu... czy coś...
Może dwadzieścia.

W kącikach jego ust widać było pasemka śliny. Po policzkach ściekały mu krople potu, a oczy prawie wychodziły na wierzch. Najchętniej schowałby te swoje sto dwadzieścia kilo żywej wagi do pierwszej lepszej mysiej nory.

– Harry mnie zawołał, żebym pomógł przy podawaniu lemoniady.

– Skoro ja ci mówię, że masz na coś uwa... – Dyrektorka przerwała w pół słowa, kiedy przez szybę zobaczyła idących w ich stronę rodziców dziecka. Przez chwilę się wahała, a potem przybrała miły wyraz twarzy i otworzyła drzwi

pomieszczenia. – Proszę wejść. Właśnie pytam kolegę, jak się rzeczy mają. – O wiele za długo ścisnęła dłoń najpierw ojca, a potem matki dziecka, jakby w ten sposób mogła ich uspokoić. – Z moich informacji wynika, że mała zniknęła jakieś dziesięć minut temu, ale na pewno bardzo szybko ją znajdziemy. Nie może być daleko. Proszę się nie martwić, może ktoś po pros...

– Ależ oczywiście, że się martwimy – przerwał jej ojciec. – I to bardzo. Co... co możemy jeszcze zrobić? Gdzie jej już szukano? Bo ktoś to chyba robi?

– Oczywiście wszę... – Dyrektorka za późno się zorientowała, że taka odpowiedź jest mało uspokajająca, więc dodała: – Na wszelki wypadek, w razie gdyby... powinniśmy chyba jednak zawiadomić policję.

Po raz pierwszy odezwała się trupio blada matka:

– W razie gdyby co?

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).